№ 3.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1844. Poznań, dnia 31. Stycznia.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

Koncerta dawane w tym roku przez Polaków przyjeznych, jak Szczepanowskiego, Iżyckiego, Brzowskiéj, a nareszcie Kossowskiego, pokazują, że muzyka niejest sztuką obcą dla Polaków, jakkolwiek z wymienionych powyżéj wirtuozów, nie wszyscy mogli być z zapałem przyjęci. Ogłoszenia po gazetach warszawskich, o koncertach, kwartetach, oratoriach dowodzą jasno, że tam muzyka nietylko nieupadła, lecz ciągle się wznosi. Cofnąwszy się w czasy dawniejsze w Polsce postrzeżemy, że muzyka odwiecznie w niéj kwitnęła. Przy kościołach katedralnych, kollegiatach, po wielu klasztorach urządzili ją zaraz w pierwszych wiekach chrześciaństwa kantorowie z Włoch, a potém prowadzili daléj muzykanci Polacy i Czechowie. W Krakowie słynął cech rybałtów, to jest śpiewaków i muzykantów, którzy cały kraj przebiegali. Po dworach panów utrzymywano zwykle kapelle. Niektóre miasteczka były głośne z talentów muzycznych, i tak w naszych stronach, że spomniemy Wschowę, Grodzisk i Lwówek. Dziś w poznańskiém muzyka prawie wyginęła: wszędzie gdzie grają są ludzie skądinąd przybyli; melodye polskie przesiękły cudzoziemczyzną: polonezy, mazurki u nas komponowane, tchną tylko tak duchem polskim, jak aktorowie, albo maski na balu w kontuszach.

Upadek ten całkowity muzyki pochodzi naprzód stąd, że panny, mężczyzni, kto żyje, uczy się klepać na fortepianie — potém w obieraniu nauczycieli muzyki; przy katedrach i kościołach innych fundusze znaczne, albo bardzo się zmniejszyły, albo je całkiem zatracono. Jeżeli jakie obmyślono, zaraz na takich funduszach obsadzono cudzoziemców. Koniec końców, muzyka dla nas stała się obcą, a to jest sztuka wielkiéj wartości, nawet w sprawach narodów. Piszący ten artykuł, widział po dwakroć skutki ulubionego mazurka, a to nawet raz przeciw silnemu ogniowi kartaczowemu. Muzyka zastąpi największą wymowę: wyda skutek w oka mgnieniu, jak piorun i to razem na tysiącach. Trzebaby u nas założyć konserwatorium muzyczne. Toby wcale niekosztowało wiele: zakupić instrumenta, poświęcić kilkaset talarów dla dwóch nauczycieli, wystarać się o lokal i otworzyć przystęp każdemu z ubogiéj młodzieży, potém wyższe talenta polecić Towarzystwu Naukowéj pomocy, a wkrótce mielibyśmy mistrzów. Przyjaciele muzyki mający zaufanie w obywatelstwie, powinniby o tém pomyśleć.

Z notatek waryata.

I.

Jak mnie tu państwo widzicie, jestem sobie wcale niepozorną figurką — wesoły, lubię zabawy, pląsy, gram tęgo w karty, mówię po francuzku; a kiedy byłem nad Renem, wszyscy kielnerzy dawali mi tytuł hrabiego! Dziwna rzecz jest, że to słowo hrabia tak jest potężne, tak dla wielu brzmi słodko, że zań Bóg wie ile tam płacą — nieraz nawet więcéj jak cały majątek dając, bo poczciwość — i sprawę cnoty. A jednak mówią historycy, że kiedyś cały naród rzucił infamię na tego, ktoby śmiał zwać się hrabią! Ale przecież to musi być bajka! Wszakże czytałem w Mię-

szaninach Bejły, że tylko hrabiowie mogą być ludźmi poczciwymi. Biada każdemu, kto się urodził chłopem, mieszczaninem, a nawet poczciwym hreczkosiejem. Panie bracie, jeśli chcesz, żebym cię niemiał za człeka złego, musisz sobie uprosić u Pana Boga, żeby twój ojciec był hrabią, a przynajmniéj baronem, szlachcicem no toć wreszcie ujdzie — ale już i to trąci parafiańswem — la canaille — tak teraz zbliża się do nas. Eh ma foi! zapomniałem już, niewiem gdzie stanąłem! Aha!... nad Renem... wszyscy mnie mianowali hrabią! C'est tres aimable! — ale prawda przedewszystkiém — jestem tylko baronem. Mon père zebrał mająteczek znaczny, dał mi une education soigné. i umarł — tak prawie wszyscy ludzie robią: rodzą się naprzód, w końcu umierają. Po krótkiéj żałobie wyjechałem za granicę, zwiedziłem całą Europę — i me voilà — powróciłem.

— Dobrze to bardzo mój mości dobrodzieju — rzekł staruszek, słuchając téj szybkiéj młodego panicza gadaniny — ale to mnie wcale jeszcze nie objaśnia o właściwéj przyczynie odwiedzin asędziego dobrodzieja. Przecież to noc, jak Bóg przykazał śpi sobie człek poczciwy — zawierucha, żeby i psa nie wygnał za dom, a wacpan mnie budzisz swym wrzaskiem! Gość w dom, Bóg w dom! Jak żyję, jeszczem drzwi nikomu nie zamknął — ale dziś panie źli ludzie bardzo się zagęścili. Nocleg będziesz wasze miał, czyś tam hrabią, czy chłopem, to mi wszystko jedno.

— Bylem miał pieniądze? — pochwycił młodzik.

O nie! nie! mój panie! ja na worki i na tytuły nie patrzę. Przecież ja nie hrabia ani baron, abym tak czynił! Ale mi idzie o to, abym się przecież dowiedział, jaką przygodą wacpan tu przygnany zostałeś, i o téj porze?...

Młody panicz, był to brunet, wysoki, smukły, snać wytartego czoła, bo jak zaczął prawić długą historyę — dwie córki starego szlachcica, które przybyły do komnaty ojcowéj na krzyk, jaki gość przed domem uczynił, sądząc, że napadli zbójcy dworek ich mały, i odtąd były rozprawie ojca z młodzieniaszkiem przytomne, owoż obie rozpłakały się — a stary nie wiedział co robić, czy wierzyć gościowi, czy truchleć nad nieszczęściami, które panicza ścigały w drodze — czy wreszcie!... Ale nie, poczciwość starego przemogła — i nie dziw, szczery czyż może nieszczerość przypuszczać u obcych, którzy u niego schronienia szukają? Polak czyć może o kłamstwo posądzać młodzieńca przybywającego doń w nocy, wśród burzy?

Stary szlachcic wskazał gościowi jego pokój. Córki odeszły — i on udał się na spoczynek. Ale sen nie osiadł na jego powiekach — przyjęcie obcego w chwili, gdy już mnie miał w domu, w chwili, gdy otoczony był ajentami, uważającymi nań dzień cały, niepokoiło go. Młodzik powiedział, iż jest skompromitowany, ścigany, iż uchodząc napotkał na rozliczne przeszkody, napadnięty przez obcych, zapewne wojskowych zbiegów, przed nimi uciekł, żąda spoczynku — pójdzie sobie potém. Ale czyż cała przygoda niejest zmyśloną? Młody brunet oczy ma tak małe, a ruchawe, przenikliwe, twarz ściągłą. Te rysy, wiedział dobrze nasz staruszek, nie oznaczały ograniczonego lub wesołego trzpiota. A jednak za takiego uchodzić chciał wyraźnie gość dzisiejszéj nocy. Jakże z jego lekkością pogodzić kompromitacyą polityczną? Już to pewna, że arystokracya dla swego kraju i ziomków nigdy się nie narazi. Jak pogodzić ironią, przebijającą się mimowolnie w słowach jego. Przytém ma on pewne oczytanie. Nauka nie da się ukryć — ledwo słówko wymówisz, poznać można, jak dalece wykształcony jesteś. Naszemu szlachcicowi utkwiło w pamięci przytoczenie ironiczne owego to postanowienia polskiego narodu, rzucającego infamię na Polaków, nazywających się wedle obcych tytułów hrabiami, baronami! Dla czego wietrznik ma znać tę ustawę? poco by miał o niéj spominać?!... Nie! niepodobna, on udaje trzpiota i pana wielkiego — on w jakimś celu innym przybył do mego domku — o biada! — i porwał się starzec, zimny pot wystąpił na jego czoło, — rozpalił świecę, uchyla drzwi do pokoju gościa — wszystko cicho, ciemno — zbliża się do łoża, niema nikogo. Stary zachwiał się na nogach — zaśmiał się dziko — jakaś myśl z szybkością pioruna przeleciała po jego obliczu, rozjaśniła je — poskoczył z szybkością dwudziestoletniego młodzieńca, pochwycił karabelę nad łożem wiszącą, i pobiegł daléj — do mego pokoju.

Już przybył za późno! Zapieniony leżałem na ziemi, konwulsyjnie ściskając pięści. Gorączka trawiła mnie wewnętrzna, bo wzrok dziki na wszystkie rzucałem strony, a usta z cicha wymawiały to imiona, to opowiadały potém dziwne zdarzenia.

Obcy stał nademną, tyłem do drzwi, w pół pochylony. Wzrokiem badawczym śledził każde poruszenie, niestracił ani jednego z tych słów, które wymówiłem. Na stole przy opuszczoném łóżku mojém, stała jakaś flaszka — wypróżniona do pół, a dziwny swąd po całym się rozchodził pokoju.

Staruszkowi zaćmiło się w oczach, zachwiał się ale zebrał sił ostatnich, podniósł rękę z karabelą, i już ma ciąć obcego w głowę, a z pod drzącéj ręki ciosu niebyłby upadł żywy, ale ruch jego dosłyszał obcy, zerwał się jak szalony — i rzucił się na starca, po—

chwycił go w silne barki, i rzucił o ziemię. Wysilił się stary i nim wzniesiony sztylet zdołał spuścić obcy, zerwał się szybko, odskoczył, schwycił stołek i podniósł, gotów zaczepną lub odporną rozpocząć walkę. Ale swąd w pokoju — który snać sprawiony płynem, rozlanym na gorące żelazo przez przybysza, mnie wgorączkę wprawił, — i staremu zaczął mięszać zmysły. Obcy był snać jakimś mocnym octem osmarowany, że nań swąd niedziałał. Osłabienie które napadło starca zbawiło nas. Niepodjął bowiem młody przeciwnik karabeli, aby z nią na starca uderzyć, lecz już omdlewającemu chciał raz śmiertelny sztyletem zadać. Zbliża się, podnosi sztylet i z boku chce utkwić go w pierś starca. Ale niebezpieczeństwo wraca czasem przytomność. Starzec nim upadł, jeszcze raz zebrał siły i stołek wzniesiony spuścił na czapkę zabójcy. A silna polska prawica, — podły zabójca nie powstał więcéj. Starzec omdlał. I tak nas znaleziono nazajutrz w największéj gorączce, tarzających się po ziemi. Obcy był zabity. Ledwo nas się zdołano do zdrowia przyprowadzić. Gdym odzyskał przytomność, pochwyciłem naprzód papiery przybysza, i znalazłem notatki odnoszące się do ważnych zeznań, którem uczynił w gorączce. Całém mojém szczęściem było, że jeszcze w domu, gdziem znalazł przytułek, nie rozpoczęto poszukiwań. Starzec skoro przyszedł do zmysłów, opowiedział mi wszystko. Ani chwili niemógłem dłużéj pozostać w jego domu. Rzuciłem się w objęcia starca, i żegnałem ze łzami — i chciałem żal mój wysłowić, ile że mu sprowadzam pewne nieszczęście, ale mi dobry staruszek przerwał.

— Cicho! cicho! dziecię! źleżby to było, gdyby Polak skąpić miał bólów i męczeństw — dla spółbraci. Alboż myślisz, iż dla tego, żem stary, tom ja już nie Polak? Weź dubeltówkę i idź — pewnie już tylkoco zbirów niewidać! Już ja im się wytłumaczę, a jeśli nie, toż się pokaże, czy stary potrafi cierpieć!

Odszedłem — i już starca przyjaciela nigdy nie widziałem. O! może się jeszcze zobaczymy, może niedługo!

— A gdzież on? czy w niebie?

Skazany został na powieszenie, ale go ułaskawiono — na całe życie robót w podziemnych kopalniach i na chłostę co drugi dzień — a starzec niemoże i niemoże umrzeć!

— A córki?

Umarły — aleć lepszy taki koniec, jak przetańczywszy młodość, umrzeć salonową próżniaczką, albo całe życie myśleć o kurach i kuchni.

* * *

Na tém kończy się pierwszy urywek rękopismu. Aleć to nie koniec historyi — bynajmniéj, to dopiero pierwszy ustęp.

— A o czémże będzie daléj? wszak się o starym już skończyło?

Tak, o starym, ale nie o mnie — uważcie państwo, że ja jeszcze żyję!

II.

Szedłem przez gęsty las, a wymijałem drogę — jak zbójca kryłem się przed światłem dnia i obliczem ludzi. A jednak już ich miałem nieujrzeć więcéj — ani oblicza spółrodaków, ani ziemi rodzinnéj. O! szedłże który z was, taką przytłoczony myślą! szedłże który z was ze spuszczoną głową na pierś, a nad nim tylko myśl jedna czyż kiedy wzlatała — myśl przekleństwa, że już nigdy swéj nieujrzy ojczyzny? Jest to okropnie! okropnie!

Każdy szelest przestraszał mnie. Nie, żebym miał być bojaźliwym, boć nieraz śmierci zajrzałem w oczy, ale każde spotkanie nowém mi niebezpieczeństwem, nowemi groziło trudami — a ja już nie miałem sił walczyć z życiem. Od trzech dni jak wybiegłem z dworku szlachcica starego, niejadłem, nie zmrużyłem powieki — przemokły, przeziębnięty, uchodziłem ciągle przed czychającymi na mnie najemnikami, a myśl okropna: nie ujrzysz więcéj ojczyzny! tułać się między obcymi będziesz! ścigała mnie, ta myśl piekła mózg; prawie otrętwiały niepewne stawiałem kroki. O ileżto wtenczas wybiegów własną czujność oszukujących wymyślałem, aby w siebie wmówić, że mogę spocząć — już się przekonałem, już sobie poprzysiągłem, że gdy padnę na ziemię, nie usnę, tylko tak poleżę chwilę, choćby w kałuży. Stanąłem — mam się kłaść, ale wiatr poświsnął po boru, zeschłemi zaszeleścił liśćmi i tuman ich wyrzucił w gęstwinę. Bezsennością, trudem i myślami, co mnie wzburzały, zdraźniony, porywam się, słucham — wszędzie cicho, tylko serce wolno a mocno w piersi méj bije, tylko oddech wznosi pierś, i wiatr gdzieś zaszumi.

Upadłem w końcu znużony. Gorączkowe mnie porwało drzenie i niemógłem przymknąć powiek, choć całe siły zbierałem, aby tego dokazać; jakiś dziwny rój widziadeł pląsał w około mnie, śpiewał, gwarzył. Był to gorączkowy sen.

Naprzód szedł jakiś człowiek siwy, a twarz miał do mojego ojca podobną, tak bólem udręczoną; każda zmarszczka wysokiego czoła snać wycierpiana jakiémś okropném męczeństwem; włos siwy, długi,

a szaty miał podarte i jakby z odrywków, to bogatych strojów wschodnich, to łachmanów żebraczych, pozszywanych. Szedł on powietrzem — długim się spierał koszturem na ziemi, a wzroku nie spuścił ze mnie. Jego oczy tak ciągle się we mnie wpatrują — ach, jakież to bolejące oczy! czy wszystkich wieków i ludów wszystkich męczeństwo w te się dwoje zestrzeliło oczów? Czy to zgroza całego świata i burza nieszczęść wszystkich takiemi ku mnie strzela gromami? O zamknę, zamknę powieki, bo nie wytrzymam tego spojrzenia, tych dwojga oczu! niemogę ani się odwrócić ani w ziemię zanurzyć się, ani śpuścić powiek, a jednak tak mi one okropnie ciężą! zaćmiło mi się w oczach. — Już okropnéj nie widzę postaci, ale te oczy, te oczy, ciągle wemnie wlepione chcą mi z serca wypatrzyć ostatni promyk nadziei, — ostatnią iskrę spomnienia błogiego, które się tam jeszcze gdzieś zabłąkały, i w przepaloném bolami sercu, niewytliły do reszty.

Teraz przed ojcem staje jakiś młodzian. O piękny on jest! niewidzę ja rysów jego, ale twarz tak promienieje miłością całéj ludzkości, poświęceniem.— Jemu ojcem, matką cała w kajdanach sponiewierana ludzkość, braćmi ci którzy cierpieć umieją, i w bólu łzy nieronią, ale ścinają usta i gorzko się zaśmieją, Siostrami te niewiasty, które porzuciły błyskotki życia, i bale i stroje, i pogadanki o niczém — te których wzrok po za kuchnie i spiżarnie sięga, te anioły ziemskie co mają tyle miłości w sercu, że i złych ukochały, a miłości swéj potęgą zmieniają ich w ludzi. Ani jedna chmurka samolubnéj myśli, nie przyćmiła jego promiennego oblicza, ani chwili niepoduma on o sobie. Snać wiele cierpiał, bo choć anieli się cała jego postać, on blady, smutny jest? I jakżeby niemiał być smutnym? Trzebać hrabioskiego humoru, żeby można być wesołym, gdy siepacze czyją matkę sieką nahajkami. A oto tu niewiasta z modrém okiem z włosami złotemi, to jego matka. A oprawcy ją dręczą, i tam tłum ich jakiś stós gromadzi, jakby ją spalić chcieli, a ona woła — Szymonie mój! ratuj mnie! Zadrżał młodzian — gdy jego imie wymówiła. I już ani młodzieńca, ani matki dręczonéj, ani ojca niewidzę mojego. Tylko inna postać niby anioł mściciel z mieczem ognistym wzlatuje nademną, i okropne wyrzeka przekleństwa. „Idź, tułać się będziesz między obcymi, boleść twoja rozrywką im i śmiechem będzie. Idź, już swoich nieujrzysz, ni rodzica swego ni matki, ani ludu co sieje na pszenicznych łanach ojczystéj ziemi, idź potępiony tułaczu.“

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Miłość własna i poświęcenie.

Wszelakie czyny i sprawy ludzkie z pewnych wypływają pobudek. Człowiek, jeżeli całkiem nie jest obrany z rozumu i woli nie czyni nic, do czegoby nie miał pewnéj pobudki. Oddawna zatem wszystkie religie, wszyscy moraliści czyny ludzkie przez pobudki oceniali i osądzali. Trudne dla wielu nader osądzenie. Bo czyn leży na jawie, widzimy go lub słyszymy, patrzymy się nań własnemi oczami, lub oczami wiarogodnych świadków; ale pobudek, tych w tysiącznych fałdach serca utajonych sprężyn, nikt krom Boga, nie widzi, nikt o nich nie wie, krom tego, co czyn wykonywa, i wie dla czego go wykonywa.

Wszakże rozum ludzki jest przenikliwy, kombinujący i znajdzie się mistrz nad mistrza. Choć więc zajrzeć w duszę nikomu nie można, można przecież z tysiąca okoliczności zewnętrznych odgadywać tę duszę, i wniść na trop samych pobudek do czynu wiodących. By też był ktoś Tayllerandem w ukrywaniu planów swoich i w przezorności niepodania nigdzie strony słabéj, kędyby się do saméj tajemnicy wcisnąć można, nie uchroni się jednak całkiem i prędzéj czy późniéj prawdziwe pobudki wyjdą na jaw. Cóż więc dopiero u ludzi mniéj przezornych i nie tak przebiegłych? tam z czynów odrazu tajemną ich sprężynę odgadniesz, byleś sam ich przewyższał rozumem i przenikliwością i był baczny na całe ich postępowanie.

Uważamy zatem, że owo prawidło moralne: „niesądź ludzi wedle ich czynów, ale wedle ich pobudek“ jakkolwiek na pozór zdaje się nietylko trudne do wykonania, ale nawet zdaje się paradoxą — wiele jednak po sobie ma prawdy i podobieństwa, i nietylko można, ale powinno się ludzi osądzać wedle tych ukrytych sprężyn duchowych.

Pobudki te z dwojakiego płyną źródła, albo z miłości własnéj, albo z poświęcenia, i ta to różnica różną nadaje wartość czynom i sprawom, i różną darzy zasługą samych ludzi. Przemilczamy tu o religii chrześciańskiéj, która tę różnicę w sprawie zbawienia ludzkiego stanowi. Mówimy o świeckich stosunkach, o zbawieniu, gdyby tak powiedzieć można ziemskiém. Bąć opinia nadgradza sławą niby niebem albo korci pogardą niby potępieniem, i nadaje ludziom niektórym imie, jak mówią nieśmiertelne. Mówimy tu o zasługach mężów głośnych przez czyny, którzy tworzą tym sposobem sobie opinią, zaufanie, partyą. Aby się ludzie durzyć i uwodzić niedawali, wiele i bardzo wiele na tém tu zależeć będzie czyli i mężowie z pobudek miłości własnéj czyli z samego poświęcenia działają. W pierwszym razie cały szereg tych, co rzeczy biorą

powierzchownie, i zaufali samym zewnętrznym czynom, nie sięgając pobudek, oddał się w służbę osobistéj dumie i chęci wyniesienia się jednego i samym widokom jego sławy za narzędzie; — w drugim razie, gdzie czyny męża z poświęcenia płynęły, zwolennicy służąc jemu służą sprawie publicznéj.

Wypada nam zatém naprzód odróżnić miłość własną od poświęcenia; następnie wskazać poznaki, po których z czynów poznać jedną i drugie.

Sam wyraz miłość własna pokazuje, że to jest miłość siebie samego, a zatém kierowanie wszystkiego do siebie i na własny pożytek, dogadzanie własnym chęciom, rządzom, widokom, praca nawet, staranie i zabiegi nie mają innego celu, tylko jego samego. Człowiek taki, znany pod innemi bliskoznacznemi nazwiskami, jakoto samoluba, samochwała, sobieradzkiego egoisty, — człowiek taki swoje *ja* i swoją osobę, swój byt dobry, swoje mienie i znaczenie kładzie wszędzie i zawsze na pierwszém miejscu, wszędzie i zawsze ma je na uwadze i przed oczyma. Gdyby mógł, chiałby, żeby wszystko mu służyło, żeby świat cały o nim tylko mówił. Najświętsze sprawy i najszlachetniejsze czyny są mu narzędziem tylko do dopięcia samolubnych celów, i dla tego rzeczywistéj u niego nie mają wartości, są pozorne, i nie on im, ale one jemu służą. Jeżeli nie robi nic złego, to nie dla tego żeby to za złe uważał, ale dla tego, że wie, żeby mu to w reputacyi szkodziło. W ogóle w ogniu miłości własnéj, który go pożera płonie i w dym się obraca wszelka inna wartość i zasługa.

Tego rodzaju ludzi masz wszędzie po świecie, we wszystkich stosunkach życia. Już zaraz w dzieciach gdzie popęd egoizmu jest naturalny, uważamy tę chęć zagarniania wszystkiego do siebie, tę zazdrość i złośliwość jednego dziecka, gdy drugie matka lub ojciec całuje, i pieści, albo im zabawki i łakotki porówno rozdziela. Nasi prawodawcy wychowania przepomnieli, że tu już rozwija się przyszła żądza egoizmu, któréj już rodzice zagradzać winni. Daléj w szkołach publicznych odróżnisz także samolubów, tych co ich to współuczniowie murkami nazywają. Będzie się uczył, pilnie nawet uczył, wszakże nie dla nauk, ale aby popisywać się przed innymi, i rozkoszować w łasce professorów. Gdy pilnością i zdolnościami tego nie dokaże, obiera inne drogi schlebstwo, podżeganie na drugich i szpiegostwo. Nie dopowie ci nic, ani nie poprawi, choć widzi, że błądzisz, jedynie dla tego, aby się sam popisał, a co ma z tém by się z nikim nie podzielić, w kąty się chowa. Szkoły nie mające uwagi na te złe skłonności uczniów, pobłażające im przez niebaczność, albo zniżające się, aż do zaprowadzenia szpiegów między uczniami, nietylko nie są wychowaniem, ale morową zarazą na wychowanie. Cobyś powiedział, gdyby ojciec szpiega robił z własnego syna na drugie dzieci. A szkoły podobno rodziców zastępować powinny.

Wśród młodzieży już nie na ten dziecinny i można rzec naiwny jeszcze sposób samolubstwo się rozszerza. Dzieje się tu już szkodą społeczeństwa. Prożność, duma, stroje, porady, wystawność wszelkiego rodzaju, by też i duszę zastawić, są miłości własnéj zwyczajnémi w tym wieku następstwami. Miłość ta staje się silniejsza, więc téż już rozleglejsze pole jéj działania. Długi, często bez nadziei, a nawet rzetelnéj woli oddania ich kredytorowi kiedykolwiek, są najzwyczajniejsze takiéj młodzi samolubnéj sprawy. I tu pierwsze głębsze skażenie moralne się zaszczepia, pierwszy rak moralny społeczeństwa się zaradza, bo jemu na imie o s z u k a ń s t w o. A kogo się to oszukuje? oto biednych najwięcéj: rzemieślników co ci dawali pracę i towar, gospodarzy co cię żywili, sług, co ci usługiwali. Obojętność sama na krzywdę biednemu uczynioną już jest zbrodnią, a możesz z serca na nią obojętnego płynąć poświęcenie? — Inny równie choć nie w teraźniejszości, ale na przyszłość zgubny gatunek miłości własnéj między młodzieżą jest chęć świetnienia bez pracy, talentów, i chęć znaczenia i przewodzenia bez zdolności i wyższości nad innymi. Przykro wyznać, że świetnąć bez pracy i usposobienia prawie narodową stało nam się chorobą. Wyjeżdżanie na uniwersyteta i podróże w cudze kraje po największéj części nie w innym odbywają się celu, jak aby z wszystkiego coś pochwycić, o wszystkiem coś pomówić, zgoła okryć się samémi frazesami i błyskotkami, bez rzetelnéj nauki i głębszego ukształcenia. Jest to choroba, którąby suchotami naukowemi nazwać można, czczość zupełna i największa powierzchowność, dobra do zamydlenia oczu dobrodusznym w prostocie serca rodzicom, i parafianom sąsiadom, co z niemałém uszanowaniem słuchają świeżo przybyłego z Paryża młodziana ubranego po najnowszéj modzie, jak się prawodawczo rozwodzi w dyplomatyczno-wojenno-filozoficzno-socyalnych kwestyach.

To świetnienie powierzchownością w młodym wieku niejest tyle szkodliwe, bo się na saméj gadaninie i na samych przechwałkach ogranicza; lecz zawięzuje w człowieku miłość własną, która mu się każe potém starać o urzęda, godności bez należytéj do tego zdatności. Iluż to niemieliśmy już radców, co niewiedzieli o czém radzić, sędziów, co nie znali prawa, prezesów nawet, tylko do podpisywania. A gdzie się trzeba było z pracą jaką piśmienną pokazać, tam

za obiadek, za butelkę wina, wreszcie za skromne honorarium młodzi i niżsi urzędnicy pod sekretem wyręczyli, i odczytało się cudzą pracę. Pomijam wstyd, który człowieka niezdatnego na takiém stanowisku dojmować powinien, jeżeli ma jeszcze trochę sumienia, a który znosi dla miłości własnéj; — więcéj zarzutu godzien za zdradzenie zaufania publicznego, za zepsucie niejednéj sprawy, przez niezdatne jéj prowadzenie, za nieszczęścia i klęski, prywatne i publiczne, które niedołężna, a styrem kierująca sprowadziła ręka. Jest tu już wielkie oślepienie miłości własnéj, bo ty przyjmując kucharza, pilnie się dopytujesz o to, czy umie gotować, a gdyby nieumiał wraz go oddalasz, a sam nieumiejętny i niezdolny piastujesz urząd, od którego losy tysiąców, może losy ojczyzny zawisły. To tobie żołądek twój więcéj znaczy, niżeli los ludzi wielu? — Atoli pocieszcie się, których się to tyczy. Czytajcie otworzenie izb przez królowę angielską, albo królownę hiszpańską, i one też odczytają tylko co im ministrowie przedłożyli. Do tego zajrzyjcie do Cybernetyki czyli sztuki rządzenia przez Trentowskiego, gdzie znajdziecie dowód, że rząd taki jest najlepszy bo filozoficzny. Ad regis exemplum totus componitur orbis. Za cóżby i wasze stanowisko nie miało być najlepsze!

Młodzież renomująca bez zdolności i wyższości nad innymi, to przyszli nieszczęśliwi partyzańci, w każdéj sprawie osobne tworzący obozy, nie dla tego, by rzecz lepiéj pojmowali, ale by sami w niéj znaczyli. Nigdy oni nie idą z główną armią, ale prowadzą wojnę na swoją rękę. W ostatniéj wojnie był takim niezdatnym, a samolubnym generałem Samuel Rożycki, człowiek z kąd inąd najpoczciwszy, a nawet waleczny i odważny, jakto pod Iłżą pokazał, ale chciało mu się koniecznie być generałem. W odwrocie z Litwy opuścił korpus Dembińskiego, pod którego nie chciał zostawać komendą, i cudem tylko stało się, że cały jego korpusik nie zginął.

Aby znaczyć nie można być podkomendnym ale komenderującym, a gdyby można główno dowodzącym, mniejsza o to, czy korpus twój poprowadzisz na zagładę albo jak to mówią na jatki. Szewc Herostrat spalił najsławniejszy kościół Dyany w Efezie, byle tym czynem stać się nieśmiertelnym i dokazał swego. — Aby więc znaczyć, trzeba następnie formować sobie partyą. Do tego same zabiegi i sztuki nie pomogą, trzeba mieć na to majątek i być gościnnym w swoim domu, spraszać, raczyć, zabawiać. Na tę wędkę ludzi nietylko pomiernych ale nawet i lepszych się łowi. Do tego nieco wprawy w języku, nieco prezencyi i imponowania, a naczelnik skończony.

Jest i tu zaślepienie miłości własnéj, choć się miłością wyższą, bo miłością kraju pozoruje. Już tu nietylko majątki i życie, ale sprawa publiczna i kraj na szwank się wystawia. W rzeczachpospolitych, w które się wkradł nieład i duma magnatów, najwięcéj takich partyi mamy przykładów. U nas bywało, że na sejmy i na trybunały, nie zgromadzali się reprezentanci narodu, ale ciągnęły dwie lub więcéj partyi z orszakami zwolenników, kupionych za obiady, pieniądze i protekcye. Głosy poczciwych, nic nie pomogły, w massie zaślepionych lub przedanych. Naprózno Mokronowski protestuje przeciw gwałtowi i do akt sejmu 1764. r. składa manifest, naprózno marszałek Małachowski unosi z sali laskę, — partya familii zostaje i okrzykuje X. Adama Czartoryjskiego marszałkiem. W 9 lat później podnoszą się przeciw większemu jeszcze gwałtowi, patryotyczne głosy Reytana i Korsaka, nietylko nie miękczą serc samolubstwem obłąkanych, ale padają nawet ofiarą trybunału sejmowego.

Smutne te przykłady w dziejach, bodajby odstraszyły młodsze pokolenia od chęci partyi i znaczenia. Nie ma szkodliwszego egoizmu, jak jest w sprawach publicznych. Jest to Simonia świecka; najopłakańsze urąganie się z tego, co jest święte i nietykalne. Nie ma tak szlachetnéj i wzniosłéj sprawy, któraby upaść nie musiała, gdy się w ręce samolubów i ludzi chciwych znaczenia dostanie. Jeżeli powstajecie sprawiedliwie na arystokracyą, nie możecie jéj nic więcéj zarzucić jak miłość własną, ale straszliwać to choroba, zarażająca niemocą cały naród. Nie popadajcież sami w złe, przeciw któremu powstawacie. Bo powiadam wam, że nie ma innéj arystokracyi na ziemi, jeno zaślepienie w miłości własnéj. Ta nie ustąpi zasłudze, spotwarzy poczciwość i cnotę, a nawet na powieszenie jéj głosować będzie, byle po téj szubienicy sięgła szczeblem wyżéj do znaczenia. Jeszcze gdy do téj żądzy wyniesienia się zdatności i zdolności się przywiążą, a serce skąd inąd niezepsute, — sprawa publiczna, acz była tylko środkiem, nie ucierpi tyle, w rzadkich przypadkach, gdy na okół same są mierności, nawet zyskać może; — ale biada gdy się do stéru nieumiejętny wdziera, większa biada gdy u steru stanie.

Co się w obywatelskim iści zawodzie, ku temu już młodzież się układa. Uważaj więc troskliwie, komu dobro przyszłości na sercu, na ten zgubny kierunek. Nad młodzieńcem dumnym z majątku lub urodzenia, a ograniczonym litować się można, ale nad wyniosłym a ograniczonym pracować trzeba by uleczyć, bo to choroba społeczna niebezpieczna. Pali

się tam żar w piersi ale nie ognia niebieskiego, co unosi i zachwyca, lecz ogień płomieni ziemskich co zgliszcza po sobie zostawują.

Jest jeszcze trzeci rodzaj samolubnéj młodzi która na kartach, na pijaństwie, na truflach i ostrzygach, na życiu rozwiozłém trawi zdrowie, wiek i majątek; — ale to już samolubstwo materyalne, zwierzęce. Słowa rozsądku i uczucia wyższego byłyby tu perły ewangeliczne. *(Dalszy ciąg nastąpi.)*

Literatura.

Pamiętniki Franciszka Karpińskiego. Wydane w Poznaniu z rękopisu 1844.

Karpiński zaczyna swoją autobiografią od urodzenia i prowadzi ją, aż do 18go roku życia. Przeżył on smutne koleje w ojczyznie, bo wszystkie trzy rozbiory Polski. Można się tu dowiedzieć nie jednego ważnego wydarzenia historycznego nieznanego skądinąd, bo choć sam Karpiński nie wpływał na losy narodu, żył jednak z ludźmi którzy w tém czynny udział mieli, i zaglądał w te zepsute serca — w te sponiewierane dusze, które w kole poufałém, nawet się szatą wstydu nie odziewały. Był to czas, że nikczemni i podli opanowali władzę, tacy więc wybijali na wierzch, a cnotliwi z rozpaczą patrzeli na ich zbrodnie, które się działy imieniem narodu, narodu gotowego do wszelkich ofiar i poświęcenia, jak to pokazała Insurekcya i następne wypadki.

Karpiński choć nie miał wzniosłéj duszy, bo chętnie wycierał przedpokoje pańskie, i naiwnie opowiada wiersze przez siebie pisane do Repnina i Kuszelewa gubernatorów rossyjskich, z oburzeniem i ze wzgardą mówi o tych, co reprezentowali wtenczas Polskę. Prawdać, że ich władza i bezczelność wsparte były na armatach Rossyi, a zniżając się po złoto i godności, wzwyczaili swoje karki do jarzma, lecz wszystkie swoje czyny ogłaszali w imieniu narodu, i ich hańba choć niewinnie, spadła na spółczesne im pokolenie. „Aleć ci najwięksi zdrajcy,“ jak Karpiński mówi, „w oczach naszych nagrodę wzięli, a insi swojego końca czekają. I tak Adam Poniński podskarbi w. kor., który przed kilkunastą latami trząsł całą Polską, jako płatny od Moskwy, posługi jéj robiąc, po upadku kraju w ostatniéj żył nędzy, że kieliszka wódki w szynkach warszawskich nie miał czém zapłacić i wypiwszy uciekał — potém nędznie na ulicy umarł. Szczęsny Potocki z zgryzoty sumienia życia dokonał, a od potomności będzie przeklinany za konfederacyą targowicką, która była naszą zgubą. A inszych jak się wspomniało (opisując Insurekcyą) powieszono.“

Opowiada Karpiński słowa słyszane przez marszałka koronnego Lubomirskiego, do którego Stanisław August mówił, że choćby tyle Polski zostało, żeby ją mógł przykryć swoim kapeluszem, to się utrzyma przy koronie, poświęcając resztę.

Jak te kilka słów dobitnie wyjaśniają króla, tak wiele rzeczy w tych pamiętnikach rzuca światło na historyą czasów, mimo wiedzy i intencyi piszącego.

Lorenzino. Dram en cinq actes par Alex. Dumas.

Scena dzieje się we Florencyi, gdzie książę panujący, depce ludzkość ze wzgardą. Lorenzina prawe serce się zakrwawia, ale widząc, że wszystkie związki żadnego skutku nie przynoszą, tylko ofiary padają, idzie na dworaka. Tu przybiera rolę tchórza, bufona — prawi obywatele robią zasadzki na jego życie, gardzą nim nawet, a on to wszystko znosi dla miłości świętéj sprawy. Naczelnik sprzysiężonych Strozi do których Lorenzino dawniéj należał, chce jego wszystkie postępki puścić w niepamięć — ofiaruje mu nawet rękę swéj córki, którą ten czule kochał, byle powrócił na drogę prawą — lecz młodzieniec wszystko to odrzuca. Związkowych zamykają po więzieniach, a między niemi i zakonnika. Lorenzino idzie do nich — ci patrzą na niego jako na zdrajcę — on wzywa zakonnika żeby go spowiadał, i u spowiedzi prosi go o błogosławieństwo na zabicie księcia. Zakonnik tak mu odpowiada: „Rozgrzeszyć cię jest zbrodnią — ale niech i tak będzie, przyjmuję to na siebie. A jak cię Bóg przywoła, żebyś zdał rachunek z krwi rozlanéj, stanę na twojém miejscu wołając: Panie! nie szukaj winnego, oto go widzisz przed sobą.“ — I daje mu błogosławieństwo do spełnienia zamiaru. — Księciu upodobała się kochanka Lorenzina, ten ją prowadzi do gabinetu księcia, kiedy ona sądzi, że jest w pomieszkaniu narzeczonego. Tu jéj wpada w rękę karteczka, gdzie ją Lorenzino księciu obiecuje — bierze więc truciznę — kiedy kochanek nadchodzi i wykrywa jéj prawdę. Wnet się książę ukazuje, a on go zabija. — Kochanka kona na jego ręku dowiadując się, że Florencya i ojciec są wolni.

ROZMAITOŚCI.

Z Poznania. — Dnia 28 Stycznia, był dany drugi wielki bal w Kassynie Polskiém. Znajdowało się na niém do czterysta osób, pomiędzy któremi dosyć znaczna liczba członków z prowincyi wraz z familiami swemi. Nazajutrz Samuel Kossowski grał także na sali bazarowéj. Gdy zakończył sztukę karnawał wenecki, krzyknięto naprzód, żeby ją powtórzył, a potém, żeby dał jeszcze jeden koncert.

Koncert pana Kossowskiego był wprawdzie liczny, umyślnie na niego zjechało niemało obywateli z prowincyi, jednakże powozów wszystkich nie było ani dziesięciu, kiedy przed teatrem na sztuki kuglarskie pana Bosco, chociaż bilet kosztuje po 9 zł. pol. zbiera ich się nad trzydzieści. Widać, że sztuki tak zwane piękne, większa część naszéj publiczności ma całkiem za drobnostkę, a szarlataneryą za coś wielkiego.

— Pismo *Jahrbücher für slavische Literatur* & wydawane przez Jordana w Lipsku będzie wychodziło i przez rok bieżący w miesięcznych poszytach. Między licznemi artykułami o słowiańszczyznie zawiera tłumaczenie z Roku 1843 Nru. 2go pod napisem. *Der eigenthümliche Standpunkt der polnischen Literatur von J. Moraczewski*, potem *Bericht über den Verein zur Unterstützung der unbemittelten lernenden Jugend des Grossherzogthums Posen* i recenzyą nad dziełem Antoniego Mauritiusa pod tytułem, *Polens Literatur- und Kultur-Epoche seit dem Jahre* 1831.

Roku 1844 wyszedł poszyt pierwszy i zawiera: O miłości ojczyzny przez K. Libelta i Sprawozdanie z piśmienności polskiéj w ciągu 1843 roku. przez D. Rok będzie teraz wychodził w poszytach miesięcznych o 5 arkuszach.

W Anglii znajduje się teraz 70 towarzystw kolei żelaznych, które posiadają kapitał 58 milijonów funtów szterlingów. Oprócz tego wydano w Anglii na rozmaite przedsiewzięcia 347 funtów szterlingów. Zdaje się, że w Anglii, w któréj najwcześniéj zaprowadzono koleje żelazne, naprzód zaprowadzone zostaną zmiany. Nie chcą tam wcale ścierpieć monopolu towarzystw kolei żelaznych, które tylko własnych dopatrują korzyści, nie troszcząc się o publiczność. Szczególniéj żądają od nich zniżenia cen przewozu i nie wprzód ustaną w swoich użalaniach, aż nie dopną sprawiedliwych swoich uroszczeń.

MODY.

Paryż, dnia 26. Stycznia 1844.

Moda czepków nigdy nie była powszechniejszą, jak teraz. Tysiączne są ich kształty i stósują je do wszystkich okoliczności i ubiorów; tak młode jako téż i podeszłe kobiety nie mogą się bez nich obejśdź i dla tego modniarki wysilają się na pomysły, aby coś nowego w tym rodzaju utworzyć. Dawniéj tylko wdowy i chore nosiły czepki, a kształt ich mało się różnił od siebie; teraz, gdzie czepki w szczególniejszą wzięte zostały opiekę, kształty ich w nieskończoność urozmaiciły się. Z początku były jeno z koronek, wstążkami zdobne; późniéj dodano kwiaty i aksamit, teraz i to nie wystarcza i sztuka robienia czepków tak ważną się stała, jak dawniéj wymysł kapeluszów. Na główniejszą zasługują uwagę czepki wieczorne, bo tu chodzi o wpływ światła na kolory itd. Tak przecie są rozmaite a tak mało mają podobieństwa z właściwemi czepkami, że najlepiéj zaniechać tego nazwiska, a poprostu nazwać je strojami głowy. Stroje te noszą suto, wytwornie, równie jak skromnie i niebogato; wszystko tu jest dozwoloném, począwszy od pasków atłasowych z rozetkami na bokach, aż do gazy osutéj diamentami. Dla tego niepodobną staje się rzeczą opisać wszystkie stroje głowy, które znachodzimy po salonach; widzimy tego rodzaju stroje z podwójnych rulek aksamitnych, zdobne ptakiem rajskim, mające kilka łokci sznuru jedwabnego lub pereł, które przez włosy przewijają się i po bokach słaniają; także stroje podobne do turbanów z koronek, utrzymywane na czole zapomocą dwóch sznurów brylantowych; hiszpańskie czepki z czarnych koronek z pojedyńczą różą; algierskie stroje z haftem i fręzlą złotą; długie gockie barby, umocowane grzebieniem; prosty wianek z kokardą blondynową; kapelusik z czarnego aksamitu z malenkim obwodem, zdobny czterema igłami brylantowemi itd. Rozmaitość ta nadaje damom szczególniejszy urok.

Najpiękniejsze suknie do uroczystych wystąpień były z brokatu i srebra, wierzchnia suknia do tuniki podobna, narożniki ujęte w klamry z drogich kamieni. Toczek do nich z niebieskiego aksamitu, zdobny śrebrnemi łańcuszkami.

Inny ubiór był z tulu, z boku otwarty i oszyty sznurem złotym i jedwabiem wiśniowym. Każdy sznur kończył się kokardą z kutasami. Strój głowy złożony ze złota i przerabianéj tkaniny z kutasami ze złota i jedwabiu wiśniowego.

Między lekkiemi sukniami balowemi odznaczały się te, na których posiane było kwiecie delikatne np. centifolie z przejrzystemi liśćmi i gałązką wiotką.

Najwięcéj ukazuje się teraz naśladowanych klejnotów, są tańsze, trudne do rozeznania od prawdziwych i dla tych przyczyn często mogą być zmieniane, bez straty znacznéj.

Objaśnienie ryciny.

1. Kapelusz atłasowy, zdobny kwiatami; suknia pekinowa; szlafroczek atłasowy, wystrojony aksamitem; zarękawek z kun.
2. Kapelusz aksamitny, zdobny rajskim ptakiem; suknia atłasowa, z przodu otwarta i sznurem powiązana; spodnica atłasowa.
3. Kapelusz atłasowy zdobny koronkami; szlafroczek jedwabny, ozdobiony aksamitem.

Redaktor: *N. Kamieński.* Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*